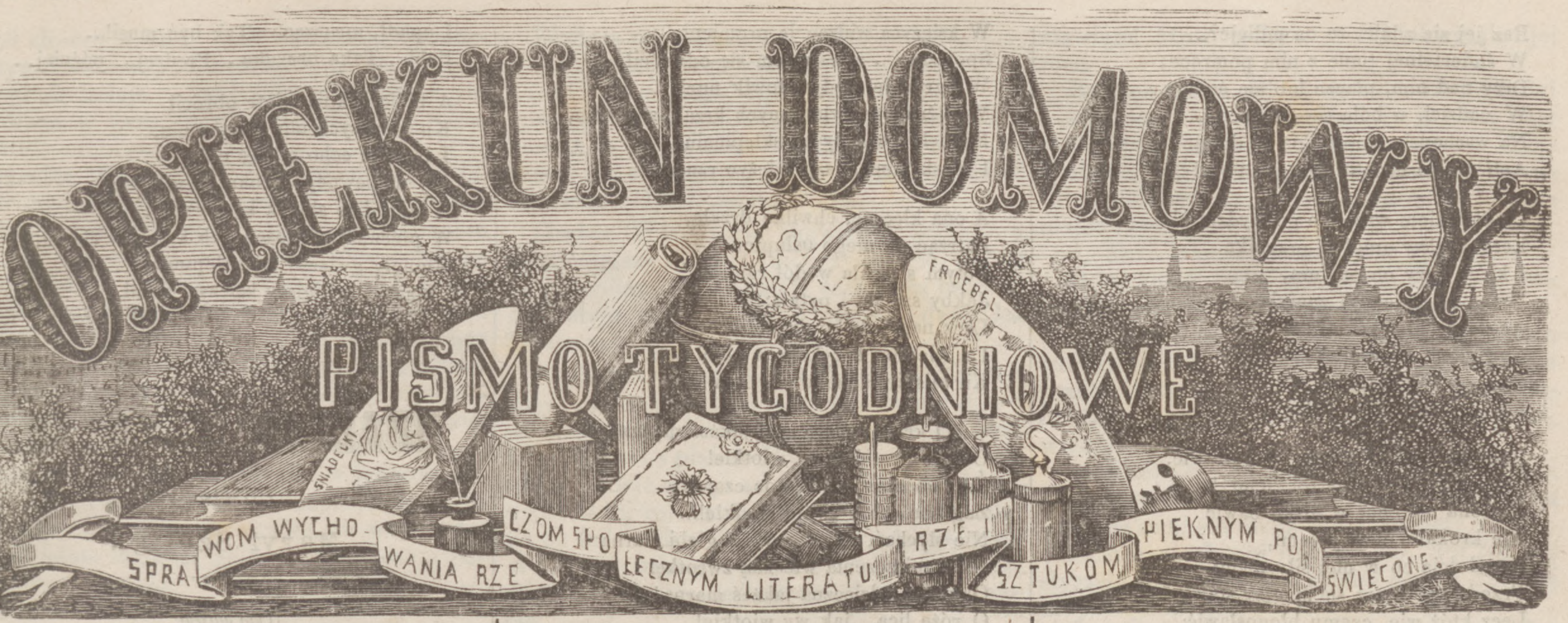
Nr. 37. Warszawa, dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie......	„ 2 kop. 50
kwartalnie......	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie.....	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* wksięgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

BEZ ŚLUBU.

Poznali się; gdzie się poznali
Nie pomnę już: w Ogrodzie Saskim
Czy też w tanecznej jakiejś sali.
Piękności jej rażony blaskiem,
Już nie dał samej jej pójść dalej,
Wzrok jego przed nią wciąż się pali
Jak lampa świetna przed obrazkiem:
Poznali się i pokochali.

Oboje byli bardzo biedni,
Oboje byli bardzo młodzi.
Nie słucha młodość starych bredni;
Nędza tak chętnie w parze chodzi,
By wiedzieć, że tak—nie uchodzi;
Oboje byli nazbyt biedni!

Prawda, z początku w ludzkim szmerze,
Złowróżbny głos się do niej niesie;
„Skowronek piérwszy całus niesie:
„Przy piérwszych kwiatkach kocha szczerze;
„A piérwsze wiśnie daje w lesie...
„Co rano pieszczoch sam ubierze....
„W jesieni... nić pajęcza rwie się:
„I tak się rzuca jak się bierze..."!!

Lecz miłość zawsze jednakowa;
W pałacach świetnych czy na strychu,
Zarówno słodkie szepce słowa,
Przysięga głośno i pocichu;
Toż samo wino wre w kielichu:
Oprawa złota czy cynowa;
O jutrze nigdy ani słychu:
O, miłość zawsze jednakowa!

Bez jutra żyli. Jutroż po co?
Co wieczór ptaków gwar w alei;
Co rano zorze okna złocą
Blaskami szczęścia i nadziei;
I tak się życie samo klei:
Już nie samotnie, nie sieroco.
Któż w lecie lęka się zawiei?
Bez jutra żyli. Jutroż po co?

A jednak przyszły dni niecnoty,
Czarniejsze od jej włosów czarnych,
Zawady przyszły i zgryzoty
I rój drobnostek życia marnych;
Lecz nie ma bardziej serc ofiarnych,
Jak mają biedne te istoty—
Nieznane kwiaty grodów gwarnych,
Gdy przyjdą czarne dni niecnoty.

Toż w ciężkich owych dni początek,
Jej uśmiech musiał zakląć burzę;
Zażegnać gniewem jego wrzątek,
I wstrzymać piorun jeszcze w chmurze;
Prawda, że czasem dwie łzy duże
Zaniosła cicho w izby kątek,
Lub też na białą w oknie różę:
Lecz znieść umiała ten początek.

Lecz biedy lubią iść w gromadzie,
Tak jak szarańcza wałem lecą!
A jemu oczy żarem świecą
Nieraz w straszliwym chwil napadzie
I boleść swoję na nią kładzie.
Sąsiedzi bawią się tą hecą,
Gdy biedy poczną iść w gromadzie
A tej dziewczynie ciężej nieco!....

Aż przyszedł wreszcie cios maczugi:
Choroba kładzie go na łoże!....
— To ospa! Ospa!... wielki Boże!...
Szczebiocą drużki, jak papugi;
A ona służy mu w pokorze
I tak szczęśliwa z tej posługi
Że prawie, (przebacz, dobry Boże!)
Cios błogosławi tej maczugi.

Jak Jakób przez dni trzy z Aniołem,
Ze śmiercią walczy istność młoda...
I nie wie, kto mu wody poda,
Łagodząc szał pod jego czołem;
I nie wie, czyja to uroda
Z nim się do grobu chyli społem;
I czyich modłów to przeszkoda
Przed śmierci broni go Aniołem...

Ach długie noce—bez snu noce!...
Za lampką chwiejną, wzrok się chwieje,

ŚLADY ŻYCIA.

XXXVII.

Tyle życia, ile.. w czynie.

W kwestyi *gimnazyjum realnego*, o którym wzmiankowaliśmy w N. 35 naszego pisma, przysłano nam kilka uwag, które w streszczeniu podać uważamy za potrzebne. Wykazują one konieczność *progimnazyjum realnego*:

„Najwięksi zwolennicy kierunku nauk klasycznych, najzagorzalsi filologowie, jeżeli tylko pojmują nasze *potrzeby*, nie będą się spierali o to, gdy powiemy, że szkoły realne są nam *koniecznie* potrzebne. Czy jednak te, które się zakładają *mogą* być z kierunkiem realnym? Odpowiadamy wręcz *nie*, lecz *mogłyby* być przy spółudziale publicznym. Do progimnazyjów realnych kwalifikowaliby się ci tylko, którzyby nie mieli zamiaru chodzić do uniwersytetu; ale po skończeniu progimnazyjum chcieliby się poświęcić zawodowi kupca, rzemieślnika, przemysłowca i tp.

A któż są ci, co przy samym wstąpieniu do szkół zawody te mają na widoku? Po większej części ludzie niezamożni, gdyż ci są, zresztą muszą być, najpraktyczniejsi.

Dla niezamożnych zaś opłata wpisu 50 rs. rocznie (jak w progimnazyjach prywatnych) byłaby za uciążliwą. Z taką opłatą wpisowego założone progimnazyjum realne chybiłoby celu, gdyż ci dla których najkorzystniej byłoby chodzić do niego, cisnęliby się do gimnazyjów rządowych klasycznych, gdzie opłata jest o 30 lub 20 rs. mniejsza; a to z tej prostej przyczyny, że człowiek niewykształcony lub mało wykształcony, nie będzie się zastanawiał nad tym, w jakim kierunku wykładana nauka dla jego syna będzie lepsza: w klasycznym czy realnym — a nawet i nie zrozumie, jaka między temi kierunkami zachodzi różnica; i będzie mu się zdawało, że tam najlepiej syna ulokować gdzie najtaniej.

Czy jednak nie dałoby się tej przeszkody usunąć, tj. czyby nie można zmniejszyć opłaty wpisowej np. do 20 rs. rocznie? Można, lecz tylko przy współudziale publicznym.

Zobaczmyż jak wielkiego na to potrzeba funduszu? Na początek niechby się uorganizowało tylko jedno progimnazyjum realne, w którymby ze składek publicznych zapłacone były w większej połowie (tj. po 30 rs.) wpisy za 150 uczniów; —to wyniosłoby 4500 rs. Czy to dużo? Licząc tylko choćby na samę Warszawę, śmiało można przypuszczać, że urządzenie jakiejś zabawy, jednego koncertu, lub jednego odczytu teraz a drugiego przed Nowym Rokiem (gdyż wpis jest rozłożony na dwie raty) wystarczyłyby aż nadto na pokrycie tej sumy". *Z. A. Sza.*

Zgadzając się w zupełności na *konieczność* obniżenia wpisowego do 20 rs. z tego właśnie powodu, o jakim wspomina nasz korespondent, nie możemy podzielać jego zdania, że progimnazyjum takie założyćby i utrzymać można za pomocą składek czy dochodu z koncertów, zabaw i odczytów. Założyć można—

Raz jej się zdaje, że on mdleje?...
W śmiertelnéj tonie z nim pomroce,
Drży nad nim, płacze lub się śmieje,
W nadziei, w bólu się szamoce...
Na wschodzie złoto! Cóż że dnieje?...
Ach długie noce!... bez snu noce!

Ciemnościom wreszcie go wydziera!..
Lecz mściwy anioł ją przenika.
I kiedy oczy on otwiera,
Niemoc źrenice jej zamyka;
Aż wreszcie ręka losu dzika
Nad niemi klątwę swą rozdziera:
Obojgu błyska nowa era:
I ona życie znów spotyka.

Lecz któż wie—czemu błogosławić,
A co kląć trzeba na tej ziemi!!...
Już ona nie chce w łóżku bawić
Ale krokami chwiejącemi,
Z radością co w niej siły plemi
Przed jego twarz się śpieszy stawić:
Lecz któż wie, czemu błogosławić:
A co kląć trzeba na tej ziemi!...

Niecały księżyc świecił blado.
I w izbie na pół ciemno było,
Och, z jakąż go schwyciła siłą,
Wywalczonego śmierci—zdradą.
Jej oko przejąć by go rado,
I cały żar swój wysiliło:
Niecały księżyc świecił blado
I w izbie na pół ciemno było.

A przecież jednym oka błyskiem
Całą twarz jego, postać całą
Objęła naraz, jak uściskiem,
W którym miłości niebo drżało!
Ach, jak jej serce się krajało
Nad smutnych śladów widowiskiem;
Całe to drogie, biedne ciało
Objęła okiem, jak uściskiem...

I naraz długo tamowane,
Odpowiadania, zapytania
Wybuchły z piersi jej, jak łkania,
Niedokończone i urwane!...
Modlitwę cichy jęk przegania,
Łzy ze śmiechem pomięszane,
Biją, jak ciepła krew przez ranę,
Do nóg się jego z krzykiem słania!...

A on? Bez ruchu stał w milczeniu
I chmurnym okiem na nią rzucił...
W księżyca widząc ją promieniu,
Spojrzał i... z wstrętem się odwrócił!—
W ogrodzie kiędyś słowik nucił
W piérwszym wiosennych krzaków cieniu,
Mignęły gwiazdy na sklepieuiu
I blask mocniejszy księżyc rzucił...

A ona klęcząc, chwilkę drżała,
Patrząc na niego osłupiona,
Potym schyliła w dół ramiona,
Jakby szalała i pytała:
Lecz nagle dziko drgnęła cała
I z wielkim krzykiem z głębi łona
Ku bliskiej ścianie się porwała:

— O kraso wdzięczna! jakżeś marna!
O róże lica, jak wy wiotkie!
Źrenico czarna, jak noc czarna,
Zagasną czary twoje słodkie!...
Nie słychać, jak czerw' w głębi ziarna
Nuci zniszczenia wieczną zwrotkę!
O! kraso wdzięczna jakżeś marna!
O róże lica, jak wy wiotkie!

—„Skowronek piérwszy całus niesie...
Ach z piérwszym kwiatkiem kocha szczerze!
A piérwsze wisnie daje w lesie,
Co rano, pieszczoch, sam ubierze...
W jesieni... nić pajęcza rwie się:
I tak się rzuca... jak się bierze!...”

Tak myśląc stała zapatrzona
W lodowo—lśniącą toń zwierciadła,
I coraz bardziej, bardziej bladła,
Jakoby lodem tym zmrożona;
I czuła tylko, że cóś kona,
W cichutkich drganiach wśród jej łona;
Bo wszystko naraz już odgadła!...

Więc odwróciła twarz łagodną,
Chowając wewnątrz straszną mękę;
I kładąc białą, chudą rękę
Na jego rękę—dziwnie chłodną;
— Bądź zdrów!—wyrzekła słowa miękkie...
. . . .
Na wschodach słysząc jej sukienkę,
Czuł, że popełnił rzecz niegodną!...

I drgnął—i wahał się—i ruszył,
I cofnął znowu... i znów skoczył,
Znów stanął; cały się zamroczył
I łzę,—podobno łzę osuszył,
I targnął jak człek co się dusi,
Chustkę na szyi... puścił luźniej,
I upadł, mrucząc:—Tak być musi!...
Bah!... Taka brzydka... Prędzej... później...

A białą suknią wiatr obrócił
Ku ciemnych ulic połączeniu,
I bratnie echo gdzieś ocucił
Jej niepewnego kroku brzmieniu;
W ogrodzie słowik kędyś nucił
W piérwszym wiosennych krzaków cieniu,
Mignęły gwiazdy na sklepieniu,
I blask mocniejszy księżyc rzucił.

Wł. Ordon.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

To samo słońce co rzucało na głowy tych szczęśliwych złote promienie, harmonizujące z usposobieniem ich duszy—taż sama świetna ognista kula, przeglądała się w szklanych szybach Radlińskiego pałacu, i wciskając swe łagodne blaski mimo ciężkich jedwabnych firanek, oświeciła pokój zielony, znajomy nam dawno—pamiętny wybuchem uczucia biednej Elodyi, niegdyś ulubiony przez nią do posiedzenia wieczornego.—I teraz na owej niskiej sofce, siedzi młoda hrabina, wpatrzona gdzieś w dal—obojętna—milcząca.—Wyraz jej twarzy zmienił się bardzo—dziecięca naiwność, zalotny uśmiech, znikły z jej ustek więcej jeszcze purpurowych i drgających niż zawsze—lecz wpółotwartych, spieczonych nierównym, gorączkowym oddechem.—Jak w czasie skwarnego lata, pod ciemnym szafirem niebios i palącemi promieniami słońca, delikatny kwiat płonie najżywszą barwą, rozwija się szybko—lecz łodyga i liście schną gwałtownie i piękność jego nadzwyczajna, równie prędko zgaśnie, a szkarłatny rumieniec kwiatu, poprzedza chwilę opadnięcia zeschłych listków cudnego kielicha—podobnie patrząc na śliczne lica hrabiny Elodyi, na jej oczy z blaskiem dyjamentów, rozwarte—ożywione—na cerę alabastrową, z tysiączną siecią żyłek błękitnych, falujących tętnem krwi młodej — nasuwała się

---

to prawda; ale któż zaręczy, że *każdego roku* taki sam pomyślny rezultat się osiągnie? Instytucyja taka jak progimnazyjum musi mieć sama w sobie warunki istnienia i nie zależeć od łaskawości publicznej, która bezwątpienia jest wielką, ale nie jest niewyczerpaną....

* * *

Zanim wędrowne ptastwo odpłynie w cieplejsze strony, a bawiące dotąd w Warszawie pielgrzymie grona artystów dramatycznych wydalą się z naszego miasta na zimową po prowincyi tułaczkę, powiémy jeszcze słów kilka o nowościach, przedstawianych w ciągu trzech ostatnich tygodni na ogrodowej scenie Alhambry i Eldorada.

W sprawozdaniach naszych od pewnego czasu dajemy stanowcze piérwszeństwo Alhambrze jużto dlatego, że skromny ten przybytek muz daleko liczniej niż Eldorado przez publiczność naszę bywa uczęszczany, jużto że mimo ogólnych i szczegółowych wad i niedoborów, towarzystwo p. Trapszy jest od swego spółzawdnika pod względem sił artystycznych zasobniejsze i bądźcobądź rozumniejszemu ulega kierunkowi. Tym razem, niezmieniając dobrej o Alhambrze opinii, zaznaczamy z kronikarskiego obowiązku fakt o ile oryginalny, o tyle odosobniony "i pod względem wywartego wpływu napół obojętny. Chcemy tu mówić o przedstawionym niedawno w przekładzie p. Trapszy utworze znakomitego rosyjanina noszącym tytuł „Małżeństwo Kreczyńskiego (Swad'ba Kreczinskaho)”. Jak wszystko, się zwraca ku ludowym sferom tak i ta komedyja jest przedewszystkim panoramą mieszczańskich i wiejsko-szlacheckich typów, symetryczną wiązanką scen, w której wybitność rysunku działających postaci ściśle jest związana z odpowiedniemi właściwościami rosyjskiego języka. W przekładzie, przy zupełnej niemożliwości spolszczenia wielu charakterystycznych wyrażeń i zwrotów, traci prawie do szczętu swą krasę i wagę. Tłomaczenie, z którym zapoznaliśmy się w Alhambrze jest do pewnego stopnia poprawne, czyste i ożywione; o ile jednak przyznać możemy, że p. T. zrobił ze swego przedmiotu wszystko, co zrobić było można, o tyle wybór sztuki dla wyrażonych powyżej względów za dosyć niefortunny uważamy. Komedyja sama nie jest napiętnowana żadną wyraźną dążnością, a mechanizm jej cały polega na tym, że główny bohater (Kreczyński), dążący krętemi ścieżkami przy pomocy zaprzedanego sobie łotra (Kasplujewa) do finansowej przez małżeństwo restauracyi, z powodu użytych w tym celu zbyt hazardownych środków, osiada w końcu na mieliźnie. Główne role w przedstawieniu tej sztuki ku zadowoleniu widzów odegrali z talentem i sumiennie: pp. Trapszo, Szymborski i Sochaczewska.

Na deskach teatrzyku Eldorado oglądaliśmy takie naprzykład komedyje jak: „Ciężka próba” w przekładzie p. J. Miłkowskiego i „Chleb ludzi bodzie” oryginalny utwór p. Bilzińskiego. Piérwsza z nich nie była odegrana jak należy z powodu, iż p. Waliszewski i p. Borkowska nie wyuczyli się dobrze swej roli; drugą natomiast wykonano w sposób zadawalniający. Zauważyliśmy że p. Teksel przez rozliczne efekty i wyskoki stara się swą publiczność gwałtem zachwycić, odurzyć i ubawić. Nie bierzemy mu tego stanowczo za złe; dążność taka wpływa bowiem często na estetyczne urozmaicenie przedstawień. Wolelibyśmy jednak, aby swe siły w niebezpiecznym z Alhambrą spółzawodnictwie na właściwym zużytkował polu, aby miejsce sążnistych a zagadkowych „dzieł scenicznych” mistycznych melodramatów i ogniotrysków, źle skleconych „wieńców dramatycznych” i benefisowych tragedyj, zastąpiła systematyczna a sumienna praca na polu narodowej i popularnej dramatyki. Jeśli w jednym z przeszłych n-ów Opiekuna zmuszeni byliśmy zganić przedsta-

myśl złowroga, że ta czarowna istota, egzotycznym kwiatom podobna, może jedne z niemi przejdzie koleje, i zabłyśnie najpiękniejszym urokiem w przeddzień zwiędnienia i przekwitu!

Hrabia Władysław odczuwał zmianę w żonie—będąc z natury nerwowy, często trafnie skreślił stan nerwów u drugich.—Tym razem jednak nie umiał właściwie zdać sobie ze wszystkiego sprawy. — Elodyja była ciągle niby w ekstazie—unosiła się bezprzyczyny—śmiała się jak szalona — tylko łzy, płynące dawniej potokami, skryły się gdzieś głęboko —tylko oczy ciemniejszym płonęły szafirem a postać była bardzo wiotka, i ruchy więcej omdlałe.

Często całe dnie spędzała w jednym pokoju—dziwnie odrętwiała, nieruchoma gra jej rysów znamionowała tylko, że wewnętrzna jej istota stanowi tylko sprzeczność z pozornym spokojem.

Łatwo pojąć, że życie ich obojga coraz bardziej stawało się nieznośnym. — Hrabia Władysław, którego piękność Djoli pociągała zawsze do niej, i nakłoniła do zamieszkania na wsi, zastępując mu niewyczerpanym powabem rozrywki miasta—hrabia od pewnego czasu przywykł znów do towarzystwa, i zatęsknił za salonami Warszawy, żywiołem swoim!—Fantastyczny humor Elodyi męczył go—dawniej z pewną uległością przyjmowała oznaki jego czułości—dziś okazywała mu wyraźny wstręt—drżała gdy się do niej zbliżył, i z krzykiem wyrywała się z jego objęć. —Zapomniała o konwenansie — o formach i przepisach wielkiego świata—nie panowała wcale nad sobą—i gorszyła nieraz męża swojemi narowami niewłaściwemi sferze, w której była wychowaną.—Rozmyślając nad tym hrabia osądził—że najlepiej skończyć tę sielankowo - romantyczną ucieczkę na wieś—i wrócić do lubej stolicy—gdzie Elodyja znowu zapomni fantazyj chorobliwych i niezmiernie „mauvais genre". — W tym celu wszedł do gabinetu zielonego, i przypatrzywszy się żonie siedzącej z książką w ręku—zaczął od pocałowania jej paluszków.—Elodyja wypuściła książkę i drgnęła silnie, usuwając się ku ścianie.

— Cóż powodem tych oznak przerażenia? —spytał hrabia marszcząc czarne brwi z niechęcią.

Elodyja milczała.

— Usłyszę odpowiedź?

— Co ja ci mogę odpowiedzieć?..

— Nie wiem jak sobie to wytłomaczyć!—

— A ja znów nie objaśnię cię wcale—bo nawet nie rozumiem, czego żądasz odemnie? —powiedziała obojętnie Djola.

Hrabia Władysław zagwizdał polkę — a spostrzegłszy się, że to nieprzyzwoicie, usiadł do fortepijanu i zabębnił ją całą mocą palców.

Elodyja zerwała się z miejsca dążąc ku drzwiom.

— Za pozwoleniem, ma chérie! —Przecież dosyć czasu spędziłaś chorując na nerwy—i musi się to wreszcie raz skończyć!— Zostań tutaj! s'il vous plait!—Daję ci słowo—że mię to już nudzić zaczyna i nie myślę dłużej wytrwać w tej roli czułego kochanka, żebrzącego na kolanach wejrzeń swojej ubóstwionej! Właściwie mówiąc—jestem w bardzo śmiesznym położeniu!—mówił zapalając się hrabia.

— A więc? — pytała zimna jak automat Djola zatrzymując się przed portyjerą i opierając o filar.

— Elodyjo!—Ty mię doprowadzasz do—do wściekłości! szału!... Nie probuj mojej siły!..

— Moralnej czy fizycznej?—zaśmiała się szyderczo.

Władysław przebiegł kilka razy po pokoju zaciskając wypieszczone dłonie—nakoniec zatrzymał się przed żoną, mówiąc z hamowanym gniewem:

— Korzystasz z mojej gwałtowności, aby mię okryć płaszczykiem i czapeczką z dzwonkami! – To tylko chwilowe uniesienie.—Teraz zimno i bez ogródek, wypowiem ci wszystko:—Uważałem cię za dziecko i dotąd z pobłażaniem znosiłem kaprysy—lecz to mogło trwać do czasu—dziś jesteś kobietą—ja mężem twoim, i ty mi żoną być musisz!—Pojąłbym, gdybyś się nudziła—i naprzykrzała się chęcią zabawy—bo kobiety lubią świecidła i rozrywki, z natury będąc płoche i dziecinne—ale tego rodzaju postępowania ze mną—nie rozumiem—i nie zniosę!

Elodyja drżała — ale mocując się z sobą, nie odrzekła ani słowa.

— Mów!—chcesz czego?.. gniewasz się?.. nudzisz?—niczego ci przecież nigdy nie odmawiam! Mów tylko!.. wołał chwytając jej ręce.

Bolesna walka odbiła się na twarzy Elodyi —wyprostowała się i podniosła główkę, ale spotkawszy wejrzenie namiętne źrenic Władysława, pochyliła pobladłe czoło—i namyśliwszy się chwilę, powiedziała cicho, uwalniając ręce:

— Tak!. zapewne—zapewne się nudzę!

Odpowiedź była widocznie zrobioną naprędce—hrabia cofnął się zdziwiony.

— Co?! — spytał bystro ja przeszywając wzrokiem. Ale Djola z właściwą kobiecie przenikliwością ogarnęła pojęciem swoje położenie—i umocniła się w swoim postanowieniu.

— Nudzę się! — Męczy mię jednostajność! —chcę ruchu, nowości! Wszak ja zawsze na to narzekam!—mówiła coraz śmielej.

— Ależ—od pół roku blisko, ani raz nie słyszałem o tym!—powiedział tracąc resztkę niepokoju hrabia.

— Mówiłam po tyle razy—nie słuchałeś prośby, drwiłeś z łez—teraz milczę—ale w głębi – drżę, choruję—szaleję!... wołała Djola z dzikim uniesieniem.

— Ah! cóż znowu!—Uspokój się moja duszko! rzucimy, jeśli chcesz, tę *ustroń samotną* —mówiąc poetów językiem—i za parę tygodni wyruszymy za granicę!—Zgoda?

— Dobrze!—odparła—bez ożywienia i radości.

— Cóż?—jeszcze ci mało?—nie uśmiechniesz się przecie? nie pocałujesz mię temi czarownemi usteczkami? Djolo?...

— Mów dalej—słucham projektu!

— A! kobieto z kamienia! chcesz widzieć czym zasłużył.—Będę mówił, ale na zadatek —Hrabia objął żonę i uścisnął ją gwałtownie.

— Pojedziem do Paryża najprzód—potym na wielkanoc do Rzymu, na lato do Szwajcaryi, a nałaziwszy się po górach, na jesień zdążymy do Wiednia, a w karnawale, przypuśćmy od dziś za rok—na balu u naszej belle-mère, będziesz tańczyła piérwszego kontredansa!—opowiadał wesoło hrabia.—Eh bien?

— Bardzo zajmujący projekt!

— Wiem — że mam ochotę krzyknąć jak w owej operetce—Marco! qu'aimes-tu donc?! Ty jeszcze nie jesteś zadowolniona!

— Przeciwnie—cieszę się—o ilę mogę!

---

wienie „Zbójców" w Alhambrze to nie wiemy doprawdy, jak nazwać to, cośmy pod tym samym tytułem widzieli w Eldorado. Dość powiedzieć, że sztywnemu aż do krańców śmieszności, najnieznośniejszemu z aktorów p. Kalicińskiemu powierzono rolę Karola Moor'a, że odznaczająca się słabym głosem i mniej szczęśliwą postacią artystka z charakterystycznej komedyi p. Henemann przyjęła na siebie rolę Amalii, a Franciszek Moor *wyrąbany* został przez p. Carmantrant po rzemieślniczemu i stereotypowo. Lecz dość już tego....; w tej chwili przypominamy sobie, że jest jeden samotny posterunek, na którym Eldorado wyjątkowe zwycięstwo nad swym spółzawodnikiem odnosi. Na posterunku tym stoi były zaszczyt warszawskiej opery, ulubieniec tutejszej publiczności, słynny *il basso profundo* p. Prochazka. Występował on już kilkakrotnie na scenicznych deskach w Eldorado, i ogródek przepełniał się publicznością, a za każdą odśpiewaną nutą grzmiał wtór życzliwych oklasków. Spodziewamy się, że pobyt tego artysty śród prowincyjonalnej trupy jest tymczasowy, że wkrótce ujrzymy go znów na naszej scenie, gdzie nieobecność *basu* po kilkakrotnym przedstawieniu Fausta i Lukrecyi Borgia wyraźnie już czuć się daje, zarówno w niezadowolnieniu publiki jak i utyskiwaniu specyjalnych recenzentów.

* * *

W Kłosach rozpoczął się druk studyjum *J. T. Hodiego* p. n. Krytyka nasza w wieku XIX, kilka ogniw z rozerwanej całości. O ile z pierwszych dwu ciągów wnosić można, będzie to praca poglądowo a pięknie przytym napisana. Sam przedmiot jest niezmiernie ciekawy choć z pozoru suchy. Zapewne — krytyka niejest nader zajmującym rzemiosłem, a historyja krytyki, na piérwszy rzut oka mogłaby brak tego zajęcia w zdwojonym stosunku dać uczuć. Lecz... jest u nas pewna okoliczność nadająca zdrowe i jędrne ciało kościstemu szkieletowi krytyki. Imiona wielkich wieszczów kraju naszego splotły się z takiemi imionami krytyków jak Mochnacki i Grabowski, a piérwszy co na polu krytycznym głębiej w ziemię pług zanurzył, był sam pieśniarzem-poetą: był nim jak wiadomo Kazimierz Brodziński. Stąd możemy mieć nadzieję, że studyjum p. Hodiego może się barwniej przedstawić, niżby sam tytuł domyślać się kazał...

* * *

Ze sprawozdania *tanich kuchen* dowiadujemy się o niezbyt pocieszającym fakcie, że na *każdym objedzie* tracą przeciętnie *jednę kopiejkę*. Ponieważ zaś obie kuchnie w przeciągu roku 1872 wydały całych objadów 139,064 i 60246 półobjadów, przeto podług obliczeń sprawozdania, w roku 1872 straciły obie kuchnie rs. 520 i k. 34. Ażeby pokryć ten deficyt, należałoby podnieść dotychczasową cenę objadów (11 kop.) choćby o pół kopiejki, ale wiadomo, że wszelkie podnoszenie cen zmniejsza liczbę pragnących korzystać z pewnego przedsięwzięcia. Z drugiej strony bale, koncerty, prelekcyje i t. p. z powodu częstego ich zużytkowania na cele dobroczynne, przejadły się już i nie przedstawiają pewności pomyślnego rezultatu.

Otóż *Gazeta Polska* proponuje inny środek. „Wiadomo, powiada, że przedstawienia w teatrzykach letnich w Alhambrze i Eldorado kończą się z dniem 31-szym sierpnia starego stylu a 12-stym nowego. Dzień ten przypada w *piątek*. Jeśli zarząd (tanich kuchen) otrzyma, jak jest po temu nadzieja, pozwolenie, aby na owych dwu scenach jeszcze i w *sobotę* mogły być widowiska na rzecz tanich kuchen, to z pomocą dyrektorów tych scen i występujących na nich artystów, którzy już gotowość swą do dzieła oświadczyli; oraz przy względności niekosztownej jeszcze kilku osób, zebrałaby się sumka zdolna część przynajmniej jakąś, jeśli nie całość spodziewanego w tym roku deficytu tanich kuchen pokryć. Ani wątpić, że ofiarność publiczna w ten sposób wyzwana, radośnie pośpieszy

— A dlaczego nie *możesz* się cieszyć?

— Ha! ha! szczególne pytanie.

— Nie myślę go powtarzać!—radzę, chcę—aby te romantyczne tęskno-mdławe usposobienia skończyły się coprędzej!—Sam widzę potrzebę towarzystwa dla ciebie; dziwaczejesz, i robisz się sentymentalniejszą od polskiej powieści!—Za dni kilka pojedziemy do Warszawy.—Zapomniałem ci powiedzieć! Radlin sprzedaję!

— Radlin! o mój Boże!—nie sprzedawaj go!—zawołała prawie ze łzami Elodyja.

— A to dla czego?—Płacą mi znakomitą sumę — wolę mieszkać w mieście, i ulokowawszy część kapitału w banku, resztą robić operacyje finansowe, które mogą znaczne przynieść korzyści!

Elodyja nie lubiąca dawniej Radlina jak ptak swojej klatki złoconej—teraz przywiązała się—i zabolała nad rozłączeniem z domem, w którym wyobraźnia ciągle jeszcze przedstawiała jej Emanuela.

— Nie sprzedawaj Radlina!...—prosiła znowu składając ręce na piersiach, z błagalnym wejrzeniem.

— Nie bądź dziecinną!—Odkądże myślisz wtrącać się do interesów?—Lepiej do końca zostaw to mojej głowie!—odparł szorstko Władysław.

Biedna hrabina umilkła jak prawdziwe dziecię—i znów próbowała wyjść z salonu.

— No? Koteczko moja!—Należy mi się pocałowanie. — Proszę się nie chmurzyć, śmiać się, kochać mię, i całować!—Od tego przecież mam żonkę—do interesów są plenipotenci! - rzekł wesoło znów hrabia, ujmując koniec jej szarfy—i zwracając kibić Elodyi ku sobie.—Ona wygięła się w tył z nietajoną bojaźnią i wstrętem—i rękami przycisnęła serce z wyrazem udręczenia.—Usta Władysława zamiast jej lica napotkały bransoletę zdobiącą jej drobne broniące się rączki.—Gniew nim zawładnął—odepchnął ją prawie.

— Elodyjo!...—krzyknął groźnie, namiętnie—a czarne jego źrenice strzeliły straszną błyskawicą złości i żalu.

Djola znikła za drzwiami, i z szybkością sarny przebiegłszy salony, na wpół nieprzytomna wpadła do swojej sypialni zamykając na klucz podwoje—i wtedy rzucając się na łóżko strasznym zaniosła się spazmem. Z głową ukrytą w poduszki, bojąc się aby nie usłyszano jęku—męczyła się okropnie—nie mogąc nic znaleźć pocieszającego, coby rozpacz ukoić potrafiło. Zabrakło jej nadziei—nieszczęśliwa kobieta szalała z bólu, powtarzając jak świętość, jak imię bóstwa mogącego ją wybawić:

— Emanuelu!... Emanuelu!...

XXI.

Dnia czwartego lutego, około godziny piątej wieczorem, liczna gromadka ludzi zebrała się przed kościołem św. Antoniego, na ulicy Senatorskiej. Kościół otworzony, oświetlony—widocznie przygotowany był do jakiejś uroczystości.—Dziadek, chłopcy, baby, i bracia cechowi, kręcili się po świątyni z wielkim ferworem, uprzątając z niezwykłą żarliwością i przejęciem się swemi obowiązkami, przyczym nie zapomnieli kłócić się zawzięcie, i hałasować tak zajadle, że ledwo sam pan organista, wyszedłszy z zakrystyi spór sądem doraźnym zakończył, każąc babom pójść precz, a dziadowi na chór, gdzie stara znajomość, miechy organu, cierpliwiej znosiły wybryki jego obraźliwego humoru. Dzwonki zadźwięczały blisko—kilkoro sanek zatrzymało się przed kościołem—tłum widzów wpadł najprzód, za niemi, weszło grono weselne, dosyć oryginalne w swoim rodzaju, i dlatego przyjrzymy mu się szczegółowo. Z lewej strony, obok pana młodego, ogorzałe twarze, szare kapoty i brak rękawiczek na rękach grubych i czerwonych, zapowiadał—niestety! — całkiem niedystyngowanych gości weselnego orszaku.—Za niemi wychylały się czepce i salopki, których pierwowzór, według wszelkiego prawdopodobieństwa!—nie od Włodkowskiej lub Thonesa pochodził. Fizyjognomije szczerze rozjaśnione, oczy zaszłe łzami nieudanego wzruszenia, które niebatystowemi ocierano chustkami, nie znamionowały towarzystwa salonów, lecz raczej warsztatów i pracy ciężkiej.—Ale dziwnie błoga radość zjednoczyła tych ludzi—poznajemy tu szewca Macieja z żoną, obok którego godny Mikołaj Wiórczyński, majster stolarski z uprzejmym uśmiechem pogląda na sąsiedztwo. Ani cienia zawiści, lub pychy zwykłej w powszednim żywocie!—Obok panny młodej, z bukietem drużby u boku, stał młody człowiek, o jasnych włosach, jasnym licu i wejrzeniu—ten odróżniał się swą postacią wśród wszystkich—od białego czoła myśl święta promieniła przejmując ogół poszanowaniem, uznawano go, i czczono już jak świętość, jak wybranego posłannika bożego—a każdy kto spojrzał w niezaćmione błękitne źrenice ozdrowiałego Felicyjana—musiał uwierzyć prawdzie słów wielbiących. Dalej widzimy Janową—w stroju świątecznym—szlochającą z głębi duszy.—Ciśnie się jak najbliżej ku oblubienicy—i zanosi się od radośnego i rzewnego płaczu, powtarzając co chwila:

— O! mój Boże! że ja też tego doczekałam!..

Kilka osób należących do nieco wyższej, nad ten czystej krwi „*plebs*“ sfery, cofnęło się trochę, są to dwie bratowe, ich mężowie, i konsolacyja z Woli—młody kuzynek Beaty, czerwony jak piwonija, z ogromną alteracyją poprawia przerażająco sztuczny węzeł od niezmiernie krochmalnego krawata, mimo bardzo rozsądnych uwag mamy, że go na nic zemnie i popsuje.

Jeszcze dalej usunięci, postępują zwolna, zacni i życzliwi nowożeńcom profesorstwo Z. trochę zdziwieni doborem towarzystwa—więc trzymający się na uboczu.

Z miną skwaszoną, z głową w górę zadartą, nie bratając się z nikim, idzie książę Karmelek, z humorem cierpkim jak nadpsuta pomarańcza.—Kroczył on samotnie, pogwizdując lekko, i ruszając ramionami, jakby chciał mówić wszystkim:—Nie ja dzwoniłem na to kazanie!

Dwie szarytki, otulone ciemnemi płaszczami, wraz z tłumem widzów, kończyły zgromadzenie.

A państwo młodzi?... Oh! gdyby malarz lub rzeźbiarz-artysta, chciał przedstawić *szczęście*—rozumne, samowiedne, ludzkie—znalazłby śliczny wzór w postaciach tych dwojga idących do ołtarza, aby powtórzyć ślub, zawarty dawno przez ich dusze.—Beata i Emanuel byli szczęśliwi wszystkiemi władzami ducha i ciała. Z ziemskim zachwytem tonęli w sobie oczyma, i uśmiechali usty—lecz uczucia ich wzniosłe, czyste, piękne, jednoczyły się w idealną harmonija duchowej roskoszy—i odczuwali przedświt tego doskonałego szczęścia, którego echo tak rzadko dźwięczy w sercach ludzkich, a które ogarnia dusze wyzwolone z więzów materyi, pełnią dobra, szczytem piękna i prawdy; które łączy po za grobem części w całość: które znosi znajome nam tutaj bóle, tęsknice i marzenia.

---

z pomocą instytucyi, mniej dobroczynne, więcej społeczne znaczenie mającej.“

Podzielając w całości pogląd *Gazety Polskiej* przyłączamy i nasz głos, pragnąc zachęcić i pobudzić przynajmniej publiczność naszę, ażeby podążyła na *zabawę* z celem pomożenia tak użytecznej, jak tanie kuchnie, instytucyi.

* * *

„ *O skierowaniu żydów ku pracy w rolnictwie*“ taki tytuł nosi krótka rozprawka p. Jeleńskiego — Autor na początku swej pracy zaznacza fakt, że żydzi w kraju naszym stanowią odrębną kastę, naród w narodzie, a przyczynę tego rozdziału widzi w kierunku wyłącznie handlowym, który jest zasadniczym warunkiem ekonomicznego ustroju ich bytu. Znając całą szkodliwość kasty faktorsko-handlarskiej, wegietującej pasożytnie, kosztem ciemnych i niezamożnych mas, chce skierować żydów ku pracy najmniej przez nich podzielanej, zachęcić do uprawy roli. Czerpiąc przykłady z dziejów autor wykazuje jasno, że izraelici byli u nas zawsze osłonięci opieką prawa i posiadali korzystne przywileje, że ich do pracy około roli zachęcano, i ułatwiano nabycie ziemi na własność. Mimo to wstręt do pożytecznego i produkcyjnego zajęcia nie został pokonany.

Przyczyną tego według pana Jeleńskiego jest I-o Fanatyzm religijny żydów: II-o Zastarzała antypatyja handlowa chrześcijan oddająca cały kierunek handlu w ręce żydowskie: i III-o Wzajemny antagonizm plemienny klas ukształconych tak żydów jak chrześcijan.

Przytoczywszy zdania uczonych żydów o talmudzie i jego szkodliwym wpływie na rozwój pojęć i dokonanie jakiejkolwiek reformy, autor wyłuszcza powody, dla których nasz handel przeszedł w ręce izraelitów i oświadcza, że największym złem owego monopolu są tłumy drobnych handlarzy, faktorów, meklerów i t. d. żyjące kosztem naszej niezaradności w zakresie stosunków handlowych i wyzyskujące, gdzie można i jak można.

Słusznie również utrzymuje autor, że zastarzała czysto plemienna niechęć, błąka się poza cywilizacyjnym światłem, rozdziela warstwy inteligentne i niepozwala zlać się w jednę całość o celach społecznych myślącą.

Jako środki zaradcze autor uważa: I-o założenie towarzystw postępowej oświaty żydów: II-o spółki i stowarzyszenia handlowe miejskie mocą których chrześcijanie mogliby ograniczyć nadmiar pośrednictwa faktorów żydowskich: III-o Towarzystwa rolniczej zachęty żydów wytwarzane tak przez ich współwyznawców wykształconych, jak również przez chrześcijan.

Należy przeto pierwej wychować odpowiednio młode pokolenie, a później zwrócić do pracy produkcyjnej. Czy u nas kiedy zawiążą się stowarzyszenia edukacyjne, czy inteligencyja żydowska o tym pomyśli, przyszłość pokaże. Niewiemy również, kiedy nadejdzie ta szczęśliwa chwila, w której współzawodnictwo handlowe odejmie nadzieję łatwych zysków proletaryjatowi żydowskiemu i zarobkować zmusi.

Bezwątpienia błogie by to były skutki dla naszego społeczeństwa, gdyby żydzi nic nie robiący, czymkolwiek zająć się chcieli. Usiłowania w tym względzie są na czasie, nim jednak projekty wejdą w życie, sądzimy, że dużo jeszcze wody upłynie. Myśl pana Jeleńskiego zasługuje na poparcie, a bliższe poznajomienie się z tą sprawą każden z naszych czytelników poweźmie, przeczytawszy pożyteczną jego broszurkę.

* * *

Otrzymujemy dość często piśmienne i ustne skargi, nietylko na służbę lecz nawet na za-

Emanuel i Beata łączyli się na wiek wieków—na nieśmiertelność całą!—Jedne były ich uczucia—jedne pojęcia--jednakie postępowanie—jedna wiara, nadzieja i miłość—jeden duch w dwa ciała ujęty—jednakie więc musiało być ich przeznaczenie—także dola spotkać musiała jedno, jak i drugie, bo na nią równo pracowali.

Byłoto prawdziwe *wesele!*

W najciemniejszym zakątku kościoła, osłonięty starannie, z twarzą w dłoni ukrytą, siedział męszczyzna, śledzący przez palce ceremoniją, z usilną ciekawością.—Ślub się skończył—on jeszcze jak przykuty pozostał na miejscu.—Byłto hrabia Władysław, *incognito* asystujący ślubowi swej córki.... Emanuel i Beata odchodzili od ołtarza—trzymając się za ręce—zwróceni ku sobie—jak całe życie iść będą. Nakoniec podjechały skromne sanki—i nowożeńcy przytuleni do siebie, znikli mu z oczu.

Hrabia Władysław wywiązał się jak umiał najlepiej z roli ojca—mimo oporu córki, i nieposłuszeństwa przeciw jego woli—napisał do niej list dosyć czuły—obstalował ładną wyprawę, dokompletował zostawione u pani Pulcheryi kosztości—i w wigiliją ślubu, z mocnym zaklęciem i prośbą o przyjęcie, posłał to wszystko Beacie, wzruszonej już jego dobremi chęciami.—Oprócz tego złożył w banku 50 tysięcy złp. jako jej posag, od którego corocznie miano jej opłacać procent. Sam przyznał się w liście, że po jej matce wziął posag 20 tysięcy—te więc 50—słusznie i prawnie córce się należą.—Beata zgodziła się za namową i zaświadczeniem Janowej przyjąć tę sumę — lubo postanowiła sobie nie odbierać jej—aż—aż—niedokończyła myśli zarumieniwszy się ogromnie.—Aż będzie tego prawdziwa potrzeba!—powiedziała później do Janowej.

Pokoiki mające przyjąć państwa młodych, odświeżyły się na tę uroczystość—przynajęto jeszcze jeden mały na drugiej stronie—i tam osiedliła się Janowa, wraz z kuchennemi przyborami.—Zato w pierwszym Beata urządziła gabinet dla Emanuela, rodzaj pracowni dla obojga—milutki kątek, gdzie przy wesołym ogniu trzaskającym na kominku, dobrze było zasiąść i gawędzić serdecznie.—Tak tu było jasno, świeżo; tak znać wszędzie dłoń umiejętną, a staranną o upiększenie tego ludzkiego gniazdeczka, że najzaciętszy mizantrop musiałby uśmiechnąć się wchodząc w te progi, i życzliwe znaleść słowo dla mającej mieszkać tu pary.

W bliskości kominka, stał teraz mały stolik suto zastawiony pomysłem i przemysłem Janowej.—Brakło tam wprawdzie piramidy pysznej, i tortu z cyfrą państwa młodych—dla smakoszów dość powszednio wyglądałaby taka kolacyja, z dodatkiem nieco kulawego samowaru i porcelanowego w kwiatki imbryczka do herbaty—nie była ona wykwintna—ale możem ręczyć, że tym dla których była zastawiona, wydała się najsłodszą ze wszystkich cukrowych kolacyj, jakie istniały dotąd na świecie....

Beata i Emanuel, powitani chlebem i solą na progu—przyjęli chętnie ten zwyczaj stary —bo szczęśliwym wszystko miłe!—i weszli na koniec do swego mieszkania.—Nim ich tu zostawim pod strażą dobrego bóstwa domowego ogniska, spojrzymy jeszcze na postać panny-młodej—gdy zrzuciwszy futro, podaje rękę świeżo ozdobioną obrączką ślubną, swemu ukochanemu, i razem postępują w głąb pokoju.—Piękny to obrazek!—Przejrzysta zasłona otulała niby mgłą kibić, głowę, i spadała na promienne szczęściem lice Beaty—plątając się z falami złotych włosów spadających swobodnie, bez sztuki, splotów, i pukli—rozpuszczonych na ramiona. Suknia—dar ojca—biała, ciężka—oszyta łabędzim puszkiem drapowała się w bogatych fałdach, i po królewsku ubierała naszę młodą księżnę Wiśniowiecką.—I Emanuel choć w mniej malowniczym stroju był pięknym także—nawet oni byli do siebie podobni bardzo, i jednaki wyraz ich twarzy, czynił to podobieństwo jeszcze więcej uderzającym.—Beata zarzuciła obie ręce około jego szyi, on ją objął w uścisk gorący—cichy szept miłości, i szmer pocałunków zastąpił im huczne wiwaty, powinszowania gości, i muzykę weselną—o! czarowną była dla nich ta melodyja, dźwięcząca w ich sercach—echem miłosnej pieśni, nadziemskiej roskoszy i powabu!... Niczego więcej nie pragnęli—nic im nie brakło—mieli *siebie*—byli młodzi, kochający, swobodni, dobrzy—i czegóż mogli żądać jeszcze? Któż od nich większe skarby otrzymał w podziale? (*d. c. n.*)

FROEBEL I OGRÓDKI DZIECINNE,

PRZEZ

Henryka Wernica.

(Dalszy ciąg).

Zajęcia i zabawy ofiarowane dzieciom przez Froebla można podzielić na trzy grupy.

Do pierwszej należą zabawy na świeżym powietrzu oparte na zasadach gimnastyki, a odbywające się przy towarzyszeniu śpiewów. Wykonywają je dzieci wszelkiego wieku, to jest od lat 3 do 7, samo się rozumie z pewnemi zmianami. Śpiew zastępuje tu komendę a wdraża umysł dziecka do taktu, do miarowości. Do tej grupy należą roboty wykonywane w ogrodzie przez starsze dzieci. Każde dziecię ma swój mały ogródek, który uprawia i pielęgnuje, zapoznając się z naturą i jej prawami.

Drugą grupę stanowi kilka darów Froebla—1) kula, walec i sześcian. Kula i sześcian t o zupełne przeciwieństwo. Piérwsza przedstawia wielką ruchliwość, drugi spoczynek, pomiędzy niemi pośrednikiem jest walec, tak ruchliwy jak kula, a przytym zakończony płaszczyznami, które mu nadają nieruchomość kostki.

Dla najmłodszych nawet dzieci zabawa z kulą ma wiele powabów, a nachylanie się przy niej sprzyja wzmocnieniu mięśni brzusznych.

Do piérwszego daru należy jeszcze stożek jako pośrednik pomiędzy kulą i walcem, dalej cztery kostki, z których piérwsza składa się z ośmiu mniejszych, druga podzielona na graniastosłupy, trzecia przecięta poprzecznie i nareszcie kostka składająca się z 36 tabliczek.

Dar ten wszystkim dzieciom bez różnicy wielką sprawia radość, gdyż odpowiada wrodzonej ich chęci do rozbierania zabawek, do ujrzenia tego co się w ich wnętrzu znajduje; a lepsze są daleko niż pudełka architektoniczne podające dzieciom już zbyt gotowy materyjał, do którego ściśle stosować się muszą.

Za podstawę do budowania służy szachownica przytwierdzona do stołu, lub na nim narysowana, a na niej dzieci budują.

Głównym tu warunkiem jest, żeby dziecię przy każdej swej zabawce zużyło cały materyjał i z jednej postaci przechodziło do drugiej bez niszczenia całej budowy.

---

rząd kolei Warszawsko-wiedeńskiej. Jeden opisuje np. taki fakt:

„Dnia 14 Sierpnia o godzinie 6½ udałem się na dworzec drogi żelaznej w Rudzie Guzowskiej, dla dowiedzenia się o czasie odejścia ostatniego pociągu osobowego do Warszawy. Byłem o tyle naiwny, że przeczytawszy rozkład jazdy, uważałem się za dostatecznie objaśnionego. Dowiedziałem się tam, że ostatni pociąg osobowy odchodzi o godzinie 8 minut 49 wieczorem. W tym błogim przekonaniu postanowiłem oddalić się z dworca. Na szczęście jednak kolega jadący ze mną złapał się już raz w podobny sposób, radził więc popytać się ustnie na stacyi. Tym sposobem dowiedzieliśmy się, że pociąg wyżej wymieniony odchodzi o godzinie 8 minut 10. W przekonaniu, że rozkłady jazdy służą tylko widocznie jako próbka druków warszawskich dla przyjezdnych cudzoziemców albo zastępują miejsce nazbyt drogich obrazów dla upiększenia sali, przybyliśmy na dworzec o oznaczonej godzinie." W dalszym ciągu podróżnika naszego spotykały nieprzyjemności ze strony konduktora i ze strony zbyt wysokich stopni wagonowych, z których „najniższy umieszczony był więcej może niż o łokieć nad ziemią"—zapewne dla „wypróbowania zdolności gimnastycznych u pasażerów".

Zamieszczając opis tego faktu, nie myślimy rzucać anatemy wyłącznie na zarząd, wiemy, że nieraz publiczność sama sobie winna zpowodu swojej niezaradności, zdaje się nam jednak, że i zarząd albo lepiej niektórzy członkowie zarządu nie są bez winy; i że gdyby publiczność nie była tak upokarzająco cierpliwa względem nadużyć i gdyby częściej dopominała się praw swoich, możeby zarząd kolei zwrócił na to większą baczność...

* * *

Kowno, 29 sierpnia.

Człowiek, co 17-go sierpnia w tutejszej katedrze ukazał się na ambonie i przemawiał do ludu jako *Syn Boży*, jest niejakiś *Jasiński* stolarz z powołania, którego oddano do szpitala a zbadanie jego postępku poruczono śledczemu.

Prawdopodobnie jestto waryjat, choć niektórzy, zważając na dosyć przytomne przeprowadzenie zamiaru, upatrują w nim sekciarza i przywodzą na poparcie tego przypuszczenia takie samo zdarzenie zaszłe w r. z. w Rzymie czy Florencyi, o czym niby pisano w gazetach.

Mówił mi pewien rzemieślnik, że wypadek ten jest skutkiem religijnej melancholii, na którą cierpi i Jasiński. Żył on jak to mówią *zawsze z Bogiem*, a ulubioną rozmową jego było narzekać według przepisów religii na życie i postępki ludzkie. Raz mu na poduszce położono wianek, (który podobno służył mu za cierniową koronę); gdy go znalazł, ukląkł, zmówił pacierz i schował. Nazajutrz na tym samym miejscu położono lalki; tak samo ukląkłszy modlił się, potym ustroił je we wspomniany wianek i poustawiał na półce, nad swoim łóżkiem i modlił się przed niemi nazywając je świętemi. *G.*

* * *

Oddział sławiańskiego komitetu w Kijowie, chcąc przyczynić się do upowszechnienia między krajowcami wiadomości o Słowianach zagranicznych, postanowił wprowadzić zwyczaj czytania na swoich posiedzeniach sprawozdań tyczących się spółczesnego życia Słowian pod względem duchowym i społecznym a zaczerpniętych z czasopism i wszelkich innych źródeł. W tym celu komitet uprasza wszystkich pisarzy krajowych i zagranicznych sławiańskich zarówno jak i osoby współczujące temu zadaniu o nadsyłanie wiadomości, rozpraw i opisów z dziedziny historyi, etnografii, filologii, literatury, przemysłu, handlu, słowem o udzielanie wszelkich prac i szczegółów tyczących się świata sła-

Z początku buduje ciotka (tak Froebel nazywał przewodniczkę ogrodu, a tym mianem nadał jej charakter więcej przyjacielski), a dzieci ją naśladują, poczym zdatniejsze dziecię jest przewodnikiem w budowaniu, a nareszcie same dzieci budują, każde według swej fantazyi. Ciotka jest tu tylko doradcą i wtedy tylko się miesza do zabawy, gdy dziecię, wyczerpawszy wszystkie swoje pomysły, nie wie, co dalej ma robić. Skoro dzieci już nabędą niejakiej wprawy, mogą przy pomocy całego swego materyjału, budować domy, a gdy kilkoro dzieci się bawi, te domy wspólnie połączone stanowią całą ulicę. Dziecię przy tej robocie nabiera wyobrażenia o poziomie, o linii prostopadłej, o środku ciężkości, równowadze i t. d.

Ostatni dar tej grupy składa się z tabliczek i stanowi przejście do płaszczyzn.

W osobnych pudełkach umieszczone cienkie różnokolorowe tabliczki, mile bawią i zajmują dzieci. Tworzą z nich tak zwane formy piękności, gwiazdy, arabeski i inne wzory. Froebel w swoim systemacie rozróżnia 3 gatunki postaci: 1° postacie wzięte z życia, jako to: krzesła, kanapy, stoły, domy i t. d.; 2° postacie piękności, np. gwiazdy, krzyże, arabeski; 3° postacie poznania jako sześcian, kula, trójkąt, prostokąt i t. d.

Do tejże samej grupy liczymy jeszcze układanie form życia i poznania, z kijeczków wielkości zwyczajnej zapałki. Miła to zabawka dla wszystkich dzieci a zdatna ciotka może wkrótce takiej nauczyć cierpliwości i wytrwałości w pracy, że całe domy, drzewa, będą z nich układane.

Dla utrwalenia dobrze zrobionej postaci można ją przykleić gumą arabską na papierze, a takie uznanie dobrze wykonanej pracy zachęca innych do niewinnego współzawodnictwa.

Froebel stopniowo od brył przeszedł do linij, a nawet punktu, gdyż w niektórych ogrodach dają dzieciom groch szablasty do układania z niego rozmaitych postaci. Naodwrót teraz od punktu przechodzi do bryły.

Do tej 3-ej grupy należy cały szereg zabawek, z których tylko główniejsze wymienimy.

1. Wykłuwanie szpilką na papierze postaci z życia.

W tym celu daje się dziecku szpilka lub igła oblepiona lakiem, tak żeby niewielki tylko koniec był nim niepokryty, a na papierze leżącym na miękkiej podkładce z bibuły przekłuwa dziecię dany rysunek. Dla rozmaitości łączy odleglejsze punkta za pomocą kolorowej wełny, albo też obwodzi je kolorowym ołówkiem lub farbą.

2. Haftowanie na papierze.

Ćwiartka papieru składa się we dwoje i narzyna nożyczkami w paski na ćwierć cala szerokie, tak, żeby narzynanie kończyło się na cal od brzegu. To jest tłem do haftowania. Za materyjał służą długie paski szerokie również na ćwierć cala, które się wtykają w drewienko z jednego końca rozszczepione, przy jego pomocy przetykają papierki przez nacięcia opuszczając to jedno, to dwa, lub więcej według potrzeby.

Przy tej robocie dziecię nabiera dokładnego pojęcia o liczbach, liczyć bowiem musi, inaczej wzór się nie uda. Zdumieniem przejmuje widok pięcioletniego dziecka zajętego z zupełnym zatopieniem się w swej robocie, a mniej tu mamy na względzie piękność deseniu, jak raczej czystość i wytrwałość w jego wykonaniu.

Z początku bierze się za tło papier grubszy, stopniowo przechodzi się do coraz cieńszego i nareszcie kończy się na bibułce angielskiej.

Lepsze prace można utrwalić przytwierdzając je na grubszym papierze, a dobrze będzie jeśli każdej pracy nadamy pewien cel, przeznaczając ją na patarafkę, podstawkę i tym podobne, gdyż wtedy dziecię już zrozumie, że każde zajęcie o tyle ma wartości o ile służy do jakiegoś celu.

3. Wyrabianie postaci z papieru przez zginanie.

Kwadratowa ćwiartka papieru i drewniany nożyk, oto materyjał i narzędzie. Zginanie można rozpocząć albo od zgięcia w ukos po przekątnej, wtedy podwójnie zginając otrzymany trójkąt, którego podstawę stanowi bok kwadratu—albo też zginamy na połowę i tworzymy dwa prostokąty sobie równe. W tej pracy dziecię nabywa wyobrażenia o kątach, przekątnych i uzupełnia dawne pojęcia o prostopadłej i poziomej. Wyrabia pudełeczka, bułeczki, okręty, ptaszki i t. p.

(*d. n.*)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Lwów, 1 września 1873 r.

Ilekroć zbliża się sezon otwarcia kursów szkolnych we Lwowie, można być pewnym, że odezwą się i lamenty na niedostatek i szczupłość lokalów. Najlepszy to dowód, iż jest młodzież chciwa wiedzy, jest i ochota choćby o suchym kawałku chleba zabrania się do pracy. Ale jeżeli zapału nie oziębią chłodne podmuchy wiatru na poddaszach, wytarte tużurki ze świecącemi łokciami lub buty połatane, to zmraża serca u wstępu w progi szkolne odprawa: niéma już miejsca, klasy przepełnione!

W tym roku, prawda, w bieżącym nawet miesiącu, zdobyła się Rada miejska na krok chwalebny w tej sprawie, cóż kiedy usiłowanie spełznie podobno na niczym. Uchwalono wyprawić deputacyją do Wiednia, do monarchy z prośbą o urządzenie kosztem państwa drugiej szkoły realnej siedmio-klasowej i 4-go gimnazyjum. Pojechali posłowie, ale tylko ze skargą Kasandry, bo nie mogli zapewnić pana ministra oświaty, że miasto postara się przynajmniej o lokale odpowiednie. Minister Stremayer odpowiedział, iż nie ma w budżecie swym preliminowanej sumy, przyrzeczono zresztą zbadać tę sprawę i zrobić co można. Ma to prawie znaczenie delikatnej odprawy. Liczą jeszcze na to, że minister dla spraw galicyjskich, pan Ziemiałkowski, nieobecny podówczas w Wiedniu, zajmie się gorliwie tą potrzebą dla miasta Lwowa. Powtarzamy jednak, któż co poradzi, jeżeli ci sami, którzy wiedzą niby o własnych potrzebach, uznają zbawienność oświaty, a tak mało czynią pod tym względem! Odpowie na to komuna: pieniędzy niéma. Tak, pieniędzy niéma, deficyt co roku, ale jest zato nieudolna gospodarka majątkiem gminy; są połowiczne tylko uchwały, bojaźliwe kroki tego ciała, które ma swe losy w ręku własnym.

Ile dobrego, pożytecznego zdziałać może każde stowarzyszenie w Galicyi, jeżeli tylko członków jego ożywia dobra wola, wytrwałość i pojęcie dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków, mamy dowód na Towarzystwie pedagogicznym. Składa się ono z członków, którym po większej części nie wystarcza prawie na suchy kawałek chleba, bo na-

wiańskiego. Odezwy te i artykuły mogą być pisane we wszystkich sławiańskich językach a ważniejsze z nich, za zgodą autorów, będą ogłaszane drukiem w oddzielnych broszurach lub połączone w książkę zbiorową. Utwory nadesłane w innych sławiańskich językach zostaną przetłómaczone na język rosyjski. Komitet zawiadamia przytym, że korespondencyje i artykuły powinny być zaadresowane do Prezesa oddziału Mikołaja Arkadyjewicza Rigelmana w Kijowie, w dzielnicy miasta zwanej Lipki.

* * *

Kalisz, 1 września.

Szanowny Redaktorze!

Wiedząc, jak zawsze starałeś się znosić w opinii publicznej odrębność żydów, od innych części składowych naszego społeczeństwa, zwracam uwagę twoję na artykuł zamieszczony w numerze 65 Kaliszanina z r. b. Z okoliczności przedstawienia w teatrze kaliskim na dochód Towarzystwa Osad rolnych, pan S. dziękuje „panom Starozakonnym“ Kalisza, za skwapliwość okazywaną przez nich przy kupowaniu biletów na pomienione przedstawienie, oraz prosi ich, aby i na przyszłość podobnież chętnie do celów obywatelskich się przyczyniali. Takie publiczne podziękowanie pewnej warstwie społecznej nasuwa myśl, jakoby warstwa ta nie powinna spełniać obywatelskich obowiązków równie jak inne. I my cieszymy się z powyższego objawu obywatelskości naszych starozakonnych współziomków; ale nieuważamy za właściwe owego wyróżniania warstw społecznych ze względu na większą lub mniejszą obowiązkowość służenia powszechnemu dobru. Nikt nie ma szczególnej zasługi, tam gdzie chodzi o pełnienie równych obowiązków przy równych prawach.

Z uszanowaniem

Student Warszaws. Uniwersytetu.

* * *

W Krakowie pojawił się dnia 15 czerwca pierwszy numer pisma kąpielowego p. t. *Krynica*, dwutygodnik poświęcony galicyjskim zakładom kąpielowym wydawany przez D-ra *Michała Zieleniewskiego*. Składa się on z półarkuszka, którego pierwszą połowę lub ćwiartkę zapełnia malutki artykulik o kąpielach lub korespondencyja ze zdrojów kąpielowych, a drugą—„lista gości przybyłych do c. k. Zakładu w Krynicy“. Jeżeli to ma być spisem adresów, wydawanym przez komitet wojowniczo-lekarski, to trochę za drogo kosztuje, bo 1 złoty reński (60 kop.); jeżeli zaś ma być pismem lekarsko-rozrywkowym, to wydawca trzyma się widać zasad homeopatyi, mówiąc sobie: co daję, to daję; zaszkodzić nie zaszkodzi, a pomódz—to bagatela!

* * *

Przewodnik po Warszawie i jej okolicach na rok $187^3/_4$, ułożony i wydany przez *Feliksa Fryzego* i *Ignacego Chodorowicza*, o którym już krótko wzmiankowaliśmy, po opisie samej Warszawy, jej okolic (przez p. *Sobieszczańskiego*) i życia w niej towarzyskiego (przez p. *Wacława Szymanowskiego*), rozpada się na 13 następnych działów, 1) kościelny, 2) sądowy, 3) władz wojskowych, 4) władz cywilnych, 5) finansowy, 6) oświaty i nauk, 7) sztuk pięknych, 8) stowarzyszeń, 9) dobroczynny, 10) zdrowia, 11) przemysłowo-handlowy, 12) komunikacyjny, 13) adresowy. W dodatku znajdujemy *taryfę domów Warszawy* i wiadomości kalendarskie doprowadzone do 1 lipca 1874. Nadto pomieszczono tu plan Warszawy i jej okolic, dwie mapy kolei żelaznych w zachodniej i wschodniej Europie, dwa widoki Warszawy z wieży kościoła Ewangielicko-Augsburskiego, dwa widoki Warszawy z wieży kościoła S-ej Anny na Krakowskim Przedmieściu, widok gmachu teatralnego i widok Łazienek królewskich.

leżą do niego nauczyciele ludowi, ta prawdziwa klasa Paryjasów galicyjskich, a jednak, jak tam wkładki wpływają regularnie, jak na każde zebranie zbiegają, ba zjeżdżają się z dalekich stron gromadnie! Walnego zgromadzenia nigdy jeszcze nie odroczono dla braku kompletu, *unicum* w Galicyi. Od niezbyt dawna istniejące to Towarzystwo założyło kilka szkół żeńskich wyższych w Galicyi i utrzymuje je prawie własnemi funduszami.

Nie ubliżę jednak, jak sądzę, zasłużonej chwale Towarzystwa, przytaczając dość zabawne zdanie, wyrzeczone z powodu kwestyi, roztrząsanej na walnym zgromadzeniu tegoż Tow. w ubiegłym miesiącu. Że to wypadało w rocznicę zniesienia zgromadzenia Lojoli i ustanowienia zeszłowiecznej komisyi edukacyjnej, dano więc i odczyt o czynnościach owego ciała naukowego. Potym miał odczyt wezwany spoza grona Towarzystwa pedagogicznego p. Zygmunt Sawczyński. Mówił „o zadaniu wychowania publicznego wogóle, a w szczególności w zastosowaniu do potrzeb naszego społeczeństwa.” Do poważnego zresztą i treściwego poglądu na sprawę wychowania wmięszał się frazes, ale frazes, który, jeżeli nie popsuł całego wrażenia dosadnie wykazywanych braków, to z pewnością osłabił je mocno. W zapale pociągnął szanowny mówca i Darwina do odpowiedzialności za niemoralność społeczeństwa, za brak hartu duszy w młodzieży. „Cóż to bowiem, rzekł, stawią dziś zaślepieni pozytywiści za ideał tej młodzieży? zamiast bolejącego oblicza a pełnego ducha ukrzyżowanego Zbawiciela, stawią jej *mordę szympansa i orangutana* i każą wierzyć, że to są jej protoplaści!” No, oczywiście, że nieświadomi nawet o co rzecz idzie właściwie, parsknęli głośnym śmiechem i że na ten temat ciągnął się jeszcze spory kawał odczytu.

Tego lata miasteczko nasze więcej było ożywione, niż to zwykle ma miejsce o tej porze. Przyczyną tego były po pierwsze liczne bankructwa szlachty, która zamiast siać i orać zabawiała się w spekulacyje giełdowe i dużo straciła, powtóre zaś, cholera. Ktokolwiek wychylił się na chwilę za miasto i przekonał, że epidemia dziesiątkuje prawie mieszkańców miasteczek i siół, zawracał co rychlej do Lwowa. Zdarzały się wprawdzie i tu wypadki, ale jak dotychczas, od pojawienia się epidemii w mieście, umarło wszystkiego 45 osób, która to cyfra w porównaniu z Krakowem, gdzie umiera po 10 do 15 osób dziennie, jest bardzo małym procentem. Przerażającym jest zato obraz prowincyi; słabość ta groźna wyrywa liczne ofiary, a szczególniej na całym pasie podgórza Karpackiego, gdzie cholerę sprowadził srogi przednówek. Dodajcie do tego apatyję ludu, zabobonność, nieporadność, brak zaufania do lekarzy, w wielu miejscowościach uchylanie się od obowiązków księży, którzyby najłatwiej wpłynąć mogli na lud znękany, a da to choć słabe pojęcie straszliwej nędzy. Ślady jej nie znikną tak rychło, bo zabraknie wiele rąk do pracy, wiele dobytku pójdzie marnie, już teraz bowiem nie w jednej miejscowości łany stoją nie tknięte sierpem. A ileż prócz tego pozostanie sierot!... Za Karpatami w Węgrzech jeszcze gorzej, według bowiem wykazów urzędowych zabrała tam epidemija tegoroczna 85,000 dusz. Najłagodniej występuje w Dolnej i Górnej Austryi jakoteż i w samym Wiedniu. Z powodu grasującej cholery Rada szkolna odroczyła otwarcie szkół w całej Galicyi do 15 września. Zdaje się, że do tej pory choć w części uśmierzy się zaraza, bo i upały i posucha ustaje. A przebyliśmy tu także kanikułę, jakiej nie pamiętają starzy i to nie kilkotygodniową, ale począwszy od 1 lipca aż do dnia, w którym piszę.

Od ponurego obrazu plag ludzkości przechodzę do słabostek ludzkich i jeszcze do żywszego ruchu na bruku lwowskim. Przez całe niemal lato byłyto dopiero zwiastuny życia, którego mamy być świadkami, a to z powodu budzących się ambicyj, pretensyj i t. p. Nadeszła bowiem chwila wyborów, a właściwie czynności przedwyborczej do Rady państwa w Wiedniu. *(d. n.)*

Wiedeń, 18 Sierpnia 1873 r.

Szach perski w Wiedniu. Za prawdziwą ilustracyją tyle wsławionej kultury niemieckiej, oraz idyjotyzmu dziennikarstwa wiedeńskiego, może posłużyć pobyt Szacha perskiego. Nikt nie zaprzeczy wysokich zasług, jakie położyli niemcy na polu nauki, — cała Europa podziwia ich ducha organizacyjnego, ich dążność do zbiorowej pracy, w której jednostki nikną wprawdzie, lecz która ogółowi zapewnia trwałe korzyści i wysokie stanowisko na polu cywilizacyjnym. Zewnętrzna świetność i naukowa mądrość nie powinna jednakże zaślepiać co do wrodzonych przywar i narowów całego narodu. Niemiec pozostał jak był nieokrzesanym gburem w codziennym pożyciu, grzeczność towarzyska jest mu obcą jak była od wieków; przeciwnie w skutek powodzeń pruskiego oręża stał się nieznośniejszym aniżeli kiedy-kolwiek, gdyż zdaje mu się iż niemcowi, jako niemcowi wszystko wolno a ta nieobyczajność w życiu towarzyskim tłomaczy zupełnie owę nienawiść, jaką wszystkie narodowości całego świata bez żadnego wyjątku, czują do szczepu niemieckiego pomimo jego wielkich i rzeczywistych zalet.

Ten brak zmysłu obyczajności niemców który się objawia w codziennym życiu grubijaństwem, uwydatnia się w publicznym brakiem wszelkiego taktu. Dziennikarstwo, które jest przedstawicielem usposobienia ogólu, daje tego codzienne dowody, i nigdzie może więcej jak w Wiedniu. Tutejsza publiczność lubuje się w skandalach, to też dziennikarstwu o nic nie chodzi jak żeby takowych codziennie dostarczyć. Mniejsza o to czy w podanych wiadomościach jest słówko prawdy, czy je przyjdzie na drugi dzień odszczekać lub nie,— czy przez to wynikną najgorsze skutki dla miasta i całego kraju, byle tylko dać jaką drażliwą nowostkę, a dziennik, który takowych jak najwięcej nagromadzi, znajdzie zawsze najwięcej czytelników.

Zdawało się rzeczą prostej logiki, jeżeli już nie przyzwoitości, iż publiczność wiedeńska będzie uważała panujących i książąt przybywających do Wiednia dla zwiedzenia światowej wystawy, jako gości tak domu cesarskiego jak i całej Austryi. Co w takim razie prawa gościnności nakazują, wiadomo każdemu. Tymczasem w Wiedniu stało się inaczej. Miłe dziennikarstwo niemieckie przywitało każdego z tych gości nawałnicą sarkazmów, wymyślań, drastycznych anegdot. Nikt z panujących kroku zrobić nie mógł, żeby natychmiast nie podawano o tym tysiącznych komentarzy, których całą podstawą było kłamstwo. Wiadomo co za infamije pisano tu o księciu Walii, i o królu belgijskim, Dla innej publiki jak wiedeńska, zacho-

---

Gruby tom zawierający zgórą 700 stronic, kosztuje rs. 1 kop.20. Niepodobna nam wdawać się w szczegółową krytykę wiadomości, pomieszczonych w tym przewodniku a to z dwu przyczyn: 1-e że krytyka taka, jeśliby miała być pożyteczną zarówno dla wydawców jak i dla publiczności, musiałaby być napisaną przez specjalistów, którzyby na każdym z opisanych działów znali się doskonale, i po 2-e w skutek tego artykuł wzrósłby do rozmiaru małej książki i nieodpowiadałby ramom naszego pisma. Pozostawiając więc ocenę szczegółową szczęśliwiej położonym, dodamy, że o ile sądzić można z ogólnego stanowiska, przewodnik pp. Fryzego i Chodorowicza odznacza się starannością i sumiennością, w zebraniu szczegółów i ich ugrupowaniu. Uważamy go za szczęśliwy początek przedsięwzięcia, które ma przed sobą widoki powodzenia, już z tego samego względu, że stanie się on dla każdego chcącego bliżej poznać Warszawę i jej życie, koniecznie potrzebnym. Możemy więc pp. wydawcom powinszować pomysłu i jego wykonania.

* * *

P. *Alfred Wasiłowski* z Warszawy otrzymał w Hajdelbergu stopień doktora filozofii i magistra nauk wyzwolonych. — Dr. *Leon Żukowski* zmarły niedawno w Kazaniu, zapisał uniwersytetowi warszawskiemu połowę swego znacznego majątku. — *Józef Wieniawski* fortepijanista dał w Karlsbadzie dwa koncerty z wielkiem powodzeniem. *Henryk Wieniawski* skrzypek w ciągu dwu tygodni zebrał w San-Francisco w Kalifornii, dawszy kilka koncertów, 6,000 dolarów. Obecnie wrócił do Nowego-Jorku, gdzie zamierza przepędzić koniec lata. W jesieni udaje się do Kuby, południowej Ameryki a następnie do Australii, Chin i Japonii; jeśli się spełnią jego nadzieje za jaki rok albo dwa wróci do Europy milijonerem. — P. *Walery Jabłoński* rzeźbiarz w Krakowie, autor Kopernika wysłanego na wystawę wiedeńską, modeluje głowę Jana Matejki z natury w powiększonym nieco formacie. Biust ten zakupiony już został przez jednego z amatorów sztuki w Warszawie. P. *Wanda Bogdani* (*Kleczkowska*) obecnie artystka opery lirycznej w Paryżu wystąpi tamże w d. 8-go Września w Cyruliku Sewilskim w roli Rozyny. — P. *Jan Rośkiewicz* podpułkownik i naczelnik oddziału wojskowo-jeograficznego instytutu w Wiedniu otrzymał dyplom honorowy za prace tegoż oddziału. — Panna *Maryja Löwenhoff* warszawianka otrzymała w Konserwatoryjum paryskim pierwszą nagrodę w klasie fortepijanu solfegio i przeszła do klasy harmonii. Nagrody takiej (złotego medalu) od pięciu lat nieudzielono nikomu.

* * *

Wyszedł z druku odczyt popularny wypowiedziany, jak naszym czytelnikom wiadomo, dnia 11 maja 1873 r. przez *Jana Heuricha* p. n. *Jak robotnicy u nas mieszkają a jak mieszkać mogą i powinni*; zawiera str. 32; kosztuje 5 kop. (10 groszy). Wszystkim zalecamy tę pożyteczną a zajmująco napisaną książeczkę.

* * *

W *Lublinie* nakładem i drukiem Wł. Kossakowskiego, wyszła powiastka p. n. *Dobra Ciocia*, oryginalnie napisana przez ś. p. *Zofiją Ścisłowską*. W szczupłych ramkach, bo na 94 stronicach w małej ósemce, autorka maluje losy trzech braci, z których dwaj wychowani przez bony francuskie, kończą życie wśród poniżenia i występków, trzeci zaś rosnący pod kierunkiem dobrej cioci, i przejęty szlachetnemi jej zasadami, staje się porządnym i pracowitym rzemieślnikiem.

(K. L.)

dziło oczywiście proste pytanie, skąd taki dziennikarz mógł wiedzieć najdrobniejsze szczegóły życia tych osób, kiedy przecież wiadomo, iż czerwono-włosy żydziak będący zwykle sprawozdawcą dzienników wiedeńskich, do dworu przystępu nie ma.

Lecz tutejsza publika, pozbawiona najprostszego sensu, o takie fraszki nie dba. Wierzy jak w ewangieliją w to, co było drukowane w dzienniku, nie bacząc, ile stąd hańby spada na całe miasto, jaką cała ta banda dziennikarskiego stada wyrządza tak Austryi jak i dworowi cesarskiemu, który tyle gości podejmuje.

Prawdziwą koroną tego dziennikarskiego idyjotyzmu stał się pobyt Szacha perskiego. Niema dnia żeby dzienniki nie wspomniały o nowej anegdocie o Szachu, którego wystawiano jako pewną istotę pośrednią pomiędzy dzikim Indyjaninem a orangutangiem. Oczywiście większa część tych panów nie wie nawet dokładnie, gdzie leży Persyja, a naprędce czytając najróżnorodniejsze wiadomości o Persyi, podaje z nich wyciągi najkomiczniejsze bez względu na czas i okoliczności, w których nie wiadomo, co więcej podziwiać czy bezczelność czy ignorancyją piszącego.

I tak „Tageblatt wiedeński" donosi, iż Szach spełnił ofiarę spalenia baranów w zamku Luksemburskim, całkiem według sygnału, jaki się znajduje w opisaniu dworca perskiego przez Herodota za panowania Cyrusa — to jest nie więcej jak przed 500 laty przed naszą erą. Natomiast „Extra-blatt" podaje zwyczaje dworu perskiego takie, jakie były za epoki Sasanidów. Inne dzienniki poważniejsze nie chcąc pozostać w tyle podają codzienne wiadomości co Szach robił, co mówił, a nawet co pomyślał i dziwić się tylko należy iż istnieje publika, która czyta takie brednie.

Widoczna tylko, iż ci panowie sądzili, że Szach za przybyciem spuści grad orderów i kubanów na żydowskie dziennikarstwo, a zawiedzione nadzieje wywołują gniewy.....

Oczywistą jest rzeczą, iż panujący Wschodu zawarty ścisłą etykietą Wschodu w podobny sposób postępować nie może jak piérwszy lepszy episyjer z Leopoldtstadu. Co kraj to obyczaj,—a prawdziwy rozum nakazuje te odrębności odróżnić i uczcić, nie zaś cały świat mierzyć na niemieckie kopyto. Prosty rozum wskazuje, iż Szach który był przyjmowany na dworach Petersburskim, Berlińskim, Angielskim, we Francyi i we Włoszech, — ani gburem być nie może, ani też potrzebuje zniżać się do etykiety wiedeńskiego życia. Gdyby nawet był owym despotą ciemnym Wschodu, za jakich wyobraźnia europejska nauczyła się uważać wszystkich azyjatów dzięki romansom, toć przecie można przypuścić, iż posiada ludzi w swym otoczeniu, którzy Europę i jej zwyczaje dokładnie znają.

Zachowanie się dotychczasowe publiczności wiedeńskiej wobec Szacha jest tego rodzaju, iż barbarzyństwo widzimy dotykalne, lecz barbarzyńcami nie są bynajmniej Persowie. Co zaś do dziennikarstwa niemieckiego, takowe bredniami, jakie pisze o Szachu tak jak o innych pisało, a w których niéma i słowa prawdy,—wystawiło sobie wiekuisty pomnik braku taktu i niedorzeczności.

ROZMAITOŚCI.

Tow. literacko-sławiańskie we Wrocławiu mające obecnie 47 członków, stojące pod kuratorstwem profesora Dra Nehringa, odbyło w ubiegłym półroczu 11 posiedzeń, na których czytano i rozbierano 10 rozpraw z dziedziny historyi i literatury polskiej, oraz medycyny. Biblijoteka towarzystwa liczy dzieł 1,357; prezesem był Michał Hulewicz, na przyszłe półrocze obrany Bolesław Sikorski.

* * *

Piszą nam z Poznania.

„Przypadkiem doszły rąk naszych dwie książki dawniej już wydane, dotyczące naszej literatury, książki znacznej wartości, o których mało kto a może nikt nie słyszał. Piérwszą z nich jest „Polnischer Parnass" (Danzig 1862), drugą „Album ausländischer Dichtung" (Danzig 1868). Obie obejmują wyborne przekłady celniejszych polskich poetów, dokonane praz Henryka Nitschmanna. „Polnischer Parnas" doczekał się trzech wydań a obecnie, jak słyszeliśmy, przygotowuje szanowny tłumacz wydanie czwarte, znacznie pomnożone nietylko nowemi przekładami ale i krótkim rysem polskiej literatury i kilku życiorysami najznakomitszych poetów. W skład „Parnassu" wejdzie też przekład „Maryj" Malczewskiego — drukowany już w „Album ausländischer Dichtung", którego wielkie trudności zwyciężył pan Nitschmann najzupełniej. W przekładzie niemieckim p. Nitschmana dzieli się „Maryja" na trzy pieśni, z których 1 i 3 dla ułatwienia w czytaniu dokonane są jambami, druga zaś nowym wierszem Nibelungów. Zmian tych dla względów praktycznych ganić nie możemy — przeciwnie dziękujemy szanownemu tłumaczowi za popularyzowanie literatury naszej między swemi ziomkami, których nieznajomość rzeczy polskich jest tak wielką."

* * *

Czytamy w Gazecie Handlowej.

„Ważna narada miała miejsce w dniu 28 sierpnia w Hamburgu. Reprezentanci bowiem całego dziennikarstwa Germanii zjechali do tego miasta, aby wspólnemi siłami konceptu i rozsądku utworzyć statuty nowego postępowania. Zaiste, dziennikarstwo w ostatnich czasach weszło na manowce bezprawia: w braku własnych reporterów pożytkuje się wiadomościami innych gazet, przerabiając je i na swój preparując sposób; wyzyskuje pracę młodych pisarzy, nadużywa położonego w niej zaufania czytającej publiki. To też ujęcie w żelazną rękę przepisów podobnych czynności spowoduje rychłe nadejście pożądanej prawości, jaką kierować się w swych sprawkach będą pp. dziennikarze. Przepisy te głoszą, aby za każde przedrukowanie artykułu z innej gazety płacić autorowi pewne honoraryjum, jeżeli rozumie się ze strony tego ostatniego objawionym będzie żądanie; aby pod każdym przedrukiem oznaczone było źródło; w przeciwnym razie uważanym to będzie za kontrafakcyję i jako takie — prawnie poszukiwanym; aby żadne fałszywe wiadomości ze złą podawane wolą, nie znajdowały miejsca w szpaltach pisma; aby i t. d. Na konferencyi tej nadto rozbierany był fakt według nich wyzyskiwania prasy przez agencyją telegraficzną Wolfa w Berlinie. Akcyjonaryjusze bowiem tej agencyi, bogaci bankierzy, podawali niekiedy kłamliwe depesze we własnym interesie. Agentura ta jednak przedstawia tak silną władzę, ze wobec niej upadają pociski największych choćby dzienników."

* * *

Od 1-go Października ma zacząć wychodzić w Poznaniu pismo literacko-polityczne polskie pod kierunkiem p. L. Kurzmana, niemca znającego dokładnie historyją i literaturę polską. Kierunek pisma będzie narodowo-niemiecki a sposób prowadzenia redakcyi ma mieć na celu krzewienie pruskiego patryjotyzmu między ludnością polską.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. prenumeratorom ze Słucka. Na teraz tyle tylko donieść możemy, że spółka kolporterska, o któréj wspominaliśmy, zacznie działalność swoję od 1 października. Bliższe szczegóły podamy później.

P. M. N. w Kijowie. Za uznanie serdeczne dzięki, o korespondencyją prosimy. Ani oryginalnego ani tłomaczonego dzieła o *introligatorstwie*, o ile wiemy, piśmiennictwo nasze nieposiada.

P. Kuryłowiczowi w Winnicy. Pretensyje pańskie jako niezupełnie właściwe w zupełności zaspokojone być nie mogą—w początkach wiosny Redakcyja wcale nie otrzymała rs. 2 kop. 40 jakoby na komplet z Kwart. IV r. 72, odebraliśmy tylko list z dnia $^{4}/_{12}$ 72 r. a przyzim rs. 3 na prenumeratę Opiekuna i kop. 20 (markami) na kalendarz, zaś dnia 10 Lutego b. r. otrzymaliśmy kop. 10 (cenę dość niewłaściwą) na I Tom Komuny zagubionej. Prenumerata przeto opłacona za I półrocze, a na następne t. j. II półrocze pozostaje u nas kop. 50. „Szpieg Pruski" kosztuje z przesyłką kop. 65 brakujące kartki w dodatku za Maj posyłamy.

UWIADOMIENIE.

W kwartale czwartym **Opiekun Domowy** wychodzić będzie w tym samym zakresie i kierunku. Tych samych co dotąd trzymając się zasad, pragniemy służyć wytrwale sprawom rodziny, jako ogniska, z którego społeczeństwo bierze swe zdrowie i potęgę; nie zaniedbując zarazem kwestyj literackich, naukowych i artystycznych.

W piśmie oprócz **Gawęd** *T. T. Jeża* wydrukujemy powieść tegoż autora p. n. **Po ciemku,** dalej rozprawkę popularno-naukową *Bronisława Rejchmana* p. n. **Co to jest życie?**; studyjum literackie o **Zbigniewie** i t. d.

W dodatku zaś pomieścimy trzytomową powieść *Fl. Maryatt* p. n. **Walka uczuć,** przekład z angielskiego.

Cena prenumeracyjna *Opiekuna Domowego* wraz z 12-ma tomami dodatku pozostaje ta sama, to jest:

w Warszawie:

Rocznie . . .	rs. **3**	kop.	**60.**
Półrocznie	**1**		**80.**
Kwartalnie			**90.**
Miesięcznie			**30.**

Na prowincyi:
(w Ces. i Król.)

Rocznie	rs. **5**	kop.	
Półrocznie	**2**		**50**

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.